

Rozmowa z Krystyną Danilecką-Wojewódką

Prowadzenie: Jacek Szuba

JS:

Witam Państwa bardzo serdecznie na dzisiejszym spotkaniu realizowanym w ramach projektu realizowanego przez Słupski Ośrodek Kultury. Tu muszę ściągawkę wziąć do ręki, żeby niczego nie pominąć. Słupskie Kroniki Dźwiękowe w ramach programu Patriotyzm Jutra, edycja 2025, finansowany ze środków Muzeum Historii Polski i Miasta Słupska. Mamy już te formalne rzeczy za sobą, więc teraz mogę kulturalnie przywitać naszego gościa.

KDW:

Bardzo proszę kulturalnie.

JS:

Tego gościa chyba nie trzeba przedstawiać mieszkańcom Słupska, natomiast jest szansa, że będą nas słuchać i oglądać nie mieszkańcy Słupska, więc ze mną Pani Prezydent Miasta Słupska Krystyna Danilecka-Wojewódzka.

KDW:

Dzień dobry Państwu. Bardzo mi się podoba ta nazwa, bo kojarzy mi się, pewnie wielu Słupszczyanom z Polskimi Kronikami Filmowymi i taka jest pewnie trochę idea, żeby na fali tego przypomnienia kronik filmowych Kroniki Dźwiękowe Słupskie upowszechniały Słupsk dawniej.

JS:

Pani Prezydent, ja nie będę chciał dzisiaj rozmawiać o czasach współczesnych, nie będę chciał rozmawiać o samorządzie, no bo na ten temat rozmawiamy dużo przy innych okazjach. Ja bym chciał troszeczkę cofnąć się do drugiej połowy ubiegłego wieku i porozmawiać o tym, jak wyglądał Słupsk oczami najpierw małej Krysi. Mała Krysią w Słupsku się nie urodziła, urodziła się w Gdańsku i po raz pierwszy, gdy przyjechała do Słupska, to decyzja ta nie należała do niej, to nie była decyzja Krysi.

KDW:

Tak, urodziłam się w Gdańsku, wychowałam się przy ulicy Wojska Polskiego w Gdańsku Wrzeszczu, nie bez powodu Wojska Polskiego, bo mój tata był oficerem. Jak to bywa, do dzisiaj zresztą z mundurowymi służbami, objechał Polskę i w każdym mieście, gdzie był na dłużej, rodziło się jedno dziecko. Mój brat się urodził w Szczecinie, siostra w Elblągu, Krysią w Gdańsku, a najmłodsza Terenia już w Słupsku i w Słupsku zostaliśmy. Urodziłam się w Gdańsku, wychowałam się, ale to nie było świadome dzieciństwo z Gdańskiem związane, ponieważ w wieku trzech lat tata dostał przeniesienie do Słupska i zamieszkaliśmy przy ulicy Arciszewskiego. Przypominam, admirała Krzysztofa Arciszewskiego w dzielnicy niedaleko jednostki wojskowej, gdzie mieszkam do dzisiaj. I moja świadomość Słupska mniej więcej sięga chyba szóstego roku życia.

JS:

Ten Słupsk pewnie był wtedy ogromny. Krysia była malutka, więc Słupsk, który właściwie nie jest wielkim miastem, czy wydawał się wtedy dużo większy niż jest teraz?

KDW:

Droży Państwo, to w ogóle jest bardzo piękny projekt, który sprawia, że jednak odpominamy sobie tę przeszłość, o której na co dzień się tak nie myśli. Słupsk dla małej Krysi był zamknięty ulicą Arciszewskiego, leśną alejką brzozową, rzeką Słupią, w której się nauczyłam pływać, stawkiem w alejce brzozowej, gdzie się zimą jeździło z górki na sankach, a na łyżwach na tafli. Wtedy zawsze zimy były surowe. To była niedaleko górka Narciarza w Krępie [Słupskiej]. Ta odległość to była ulica Leśna, dlatego atrakcyjna, że latem tam przyjeżdżały tabory, zwane wtedy cygańskim, dzisiaj poprawnie romskim byśmy nazywali. Ale oczywiście dla małej Krysi to był wielki świat. Natomiast otwarciem na ten świat większy, czyli do centrum Słupska - był tramwaj. Bo ja jestem z tego pokolenia, które jeszcze pamięta jeżdżące tramwaje. Przez Arciszewskiego, przez którą przyjeżdżał może jeden samochód osobowy na tydzień, a dzisiaj tam jest kilkaset samochodów w ciągu godziny - wtedy jeździły tramwaje. I te tramwaje były oczywiście atrakcją wielką, bo myśmy jako dzieci podkładali na przykład pieniążka na szynę, żeby zobaczyć jak ten tramwaj nam miażdży tego pieniążka. Niestety też się czepiałyśmy czasami za tym tramwajem, ale przez to tym tramwajem się dojeżdżało do centrum. Więc nie było tak, że ten świat mój zamykał się tylko w granicach ulicy Arciszewskiego i okolicy, bo jednak tramwajem dojeżdżałam do dworca, a już najbardziej, najważniejsze było to, że się dojeżdżało do centrum. Centrum to jednak była dzisiejsza...Stary Rynek, późniejsze Kino Milenium i nade wszystko Zielona Budka. Myślę, że wiele osób teraz się uśmiechnie ze smakiem, kiedy przypomni sobie, że Zielona Budka to najlepsze lody i najlepsze pączki. A Zielona Budka stała w miejscu, gdzie dzisiaj przejście podziemne między Starzyńskiego a Bema. Więc ten Słupsk nie był taki bardzo mały.

Zmniejszył się jeszcze tylko dlatego, że do szkoły chodziłam bardzo blisko, ponieważ myśmy mieli szkołę cudowną, Szkołę Ćwiczeń przy Studium Nauczycielskim przy ulicy Arciszewskiego. Czyli do szkoły miałam dwie minuty. Jak się jeździło do szkoły do dwójki, czy do szóstki, to wtedy świat był wielki. A dla nas dzieciaków on był mniejszy, między Arciszewskiego 17 a 22, bo tam był adres Szkoły Ćwiczeń. Dzieciństwo przepiękne.

JS:

Szkoła ćwiczeń to takie trochę enigmatyczne określenie, zwłaszcza dla dzisiejszej młodzieży, szkoła ćwiczeń. Co to właściwie była ta szkoła ćwiczeń?

KDW:

Dla moich kolegów, na przykład Jurka Karnickiego, Krzysia Kido, Marka, myślę, że nawet braci Sosnowskich, Ćwiczeniówką to była ich szkoła. Bo najpierw była Szkoła Ćwiczeń przy dzisiejszych bulwarach, właściwie na bulwarach dzisiejszych, vis-a-vis pierwszego liceum była szkoła podstawowa, zwaną Szkołą Ćwiczeń, dlatego że tam odbywali praktyki studenci, uczniowie Liceum Pedagogicznego. Czyli uczniowie Liceum Pedagogicznego, którzy się uczyli na Partyzantów 24, przez rzekę przechodzili do Ćwiczeniówki i byli tak naprawdę praktykantami na żywym organizmie uczniów Szkoły Ćwiczeń.

JS:

Czyli te ćwiczenia były dla studentów, a nie dla...

KDW:

Głównie dla studentów, taki był sens. Oni tam praktykowali swój przyszły zawód. Kiedy ta Ćwiczeniówka została rzeczywiście wyburzona, bo była bardzo leciwa i nie wytrzymała już próby czasu, to zaczęto budować szkołę podstawową przy ulicy Arciszewskiego. Bardzo nowoczesną szkołę. Dzisiaj, przypomnę, to jest siedziba Pomorskiego Uniwersytetu, głównie Wydziału Humanistycznego. Ten główny budynek nasz, gdzie była szkoła, to dzisiejsza humanistyka. Natomiast Ćwiczeniówka polegała na tym, że na parterze były klasy od 1 do 8, i to była szkoła podstawowa. Na parterze i w podziemiu, tam mieliśmy różne zajęcia, plastyczne, a na tych balkonach mieściły się sale dla studentów Studium Pedagogicznego. Kiedy LP przestało istnieć, stworzono Studium Pedagogiczne nauczycielskie i tam młodzież taka pomaturalna się uczyła zawodu przez dwa lata, a praktykowali skuteczność tejże swojej nauki na nas, ucznia w Szkole Ćwiczeń. Ta szkoła została zbudowana w 60. roku przy dużym udziale naszych rodziców, a istniała dokładnie 8 lat. Mówiąc obrazowo, potrzeba było mojemu pokoleniu, czyli rocznikowi 53, żeby zacząć i skończyć szkołę podstawową. Myśmy skończyli w 68. roku ósmą klasę i szkoła ćwiczeń przestała istnieć, ponieważ przeniesiono ją do nowo budowanej szkoły jedenastki, wtedy i dzisiaj, przy Lotta. W dalszym ciągu to była Szkoła Ćwiczeń właśnie dalej dla studentów, ale już Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, bo w miejsce naszej szkoły podstawowej ISN powstała Wyższa Szkoła Nauczycielska. Mogę więc powiedzieć, że moje pokolenie jakby budowało także tą przyszłość edukacyjną w mieście Słupsku.

JS:

Ta edukacja pewnie w naszej rozmowie będzie pojawiać się częściej, no bo z życiem, Pani Prezydent, edukacja jest bardzo mocno związana, z życiem również później zawodowym, ale ja jeszcze chciałem zapytać o to, czy jako dziecko miała Pani wrażenie, że ci studenci, którzy ćwiczyli trochę na Pani swoją późniejszą pracę, to byli jacyś inni nauczyciele, czy oni się bardziej angażowali, czy to, że ta różnica wieku być może była mniejsza, pomagało, przeszkadzało?

KDW:

Ja bardzo dobrze pamiętam moich nauczycieli, tych, którzy byli nauczycielami naszymi etatowymi. Genialna matematyczka pani Łyczewska, świetny kierownik i fizyk pan Sawicki, potem chyba uczący w Technikum Elektrycznym, pani Żebrowska, historyczka, później metodyk historii na naszej uczelni, był fantastyczny nauczyciel rysunków plastyki Pan Prasofek, którego pamiętam podwójnie, ponieważ przez niego trochę musiałam zdawać egzaminy, a nie być zwolnioną do szkoły średniej, bo miałam trójkę z rysunków w trzeciej klasie na świadectwie, a gdybym nie miała tejże trójki, to bym dostała się bez egzaminów. Ale nie mam pretensji, byłam niewątpliwie mniej zdolna z plastyki, więc nauczycieli moich pamiętam bardzo dobrze.

A czym się wyróżniali ci studenci, którzy mieli u nas praktykę? Byli młodsi. Byli młodsi, to też pamiętam, mimo że przecież byłam dzieciakiem, byli młodsi, byli dynamiczniejsi niż moi nauczyciele, mieli taki luz w sobie, bo tak naprawdę oni mogli trochę na nas praktykować swoje innowacyjne metody i byli nauczycielami, którzy nas wyciągali ze szkoły na zajęcia na

przykład w Łasku Południowym. Nasi nauczyciele chyba się trochę obawiali tego, poza tym mieli całe mnóstwo innych klasa. Jeżeli ja miałam takiego praktykanta, pana Zbyszka Gilkę, nie dość, że był fantastycznym chemikiem i fizykiem, to jeszcze był, i to pamiętam, bo to była ósma klasa, bardzo przystojny, młodym człowiekiem, i myśmy już wtedy dziewczynki zwracały na to uwagę, ale on na przykład nas uczył chemii w parku. Wyciągał nas na ćwiczenia chemiczne.

Jedno pamiętam na pewno, kiedy chciał pokazać nam jak działa karbid. I te kawałeczki karbidu wrzucaliśmy do stawku i wtedy oczywiście...

JS:

Gaz się wytwarzał?

KDW:

Tak, Gaz się ulatniał. I patrzcie, co ja pamiętam, czyli ta innowacyjność, którą jednak wprowadzali Ci studenci, świeżo uczeni nowej metodyki nauczania, zakodowała się w mojej pamięci. Wielu z nich zostało nauczycielami, ale wielu z tych studentów SN-u nie było nigdy nauczycielami. Ja przypomnę na przykład Jurka Izdebskiego, później twórcę genialnej kapeli Biedni, który wyemigrował potem do Anglii, robił świetną muzykę. To Jurek nigdy nauczycielem nie był. Może gdzieś tam muzyki. Wielu jego kolegów z tej grupy było potem muzykami w innych formacjach. Na przykład Heniu Tomala, świetny perkusista. A dlaczego byli studentami SN-u? No przypomnijmy te czasy, kiedy chłopcy w pewnym wieku nie chcieli koniecznie iść do wojska, wojsko było obowiązkowe. Więc jeżeli studiowali albo uczyli się, to byli zwolnieni z obecności obowiązkowej w wojsku. Dlatego te wybory SN-u czasami były trochę przypadkowe, ale w dużym stopniu chyba świadome.

JS:

Koniec podstawówki, pierwsze wybory, wybór szkoły średniej. Na co padło?

KWD:

Padło z mojej strony na pierwszy ogólniak, bo on wtedy był bardzo, bardzo prestiżowy. Zresztą tak było przez wiele lat. Dwa ogólniaki były, przypominam, pierwszy i drugi. Pierwszy na...wtedy Bieruta, ale imieniem Bolesława Krzywoustego.

JS:

Dziś Szarych Szeregów.

KDW:

Dzisiaj Szarych Szeregów. Natomiast moi rodzice, szczególnie mama, która była bardzo silną osobowością, bardzo praktycznie myślącą, przy tacie miękkim, bardziej empatycznym, który dał mi większą swobodę, ale ona powiedziała „Krysiu, dzisiaj się uczysz bardzo dobrze, ale nie wiadomo, co będzie w przyszłości, powinnaś mieć zawód, jak każda kobieta. W związku z tym proponuję, żebyś poszła do technikum ekonomicznego. I jak mama rzekła, tak się i stało. Zdawałam do technikum ekonomicznego wtedy przy ulicy Łukasiewicza. Stary budynek, bardzo, bardzo stary, będący wcześniej szkołą numer 13, podstawową. Ja zdawałam tam egzaminy wstępne. Zdałam, dostałam się do liceum ekonomicznego, które w tym samym

roku zostało przeniesione z Łukasiewicza na ulicę Partyzantów 24, po Technikum Elektrycznym, które się wtedy wyniosło z Partyzantów, bo dostało nowy obiekt na Szczecińskiej. Fajna historia, prawda?

JS:

Oczywiście.

SKW:

Więc właśnie mapa tego, jak się rozwijała słupska edukacja. Także trafiłam do liceum ekonomicznego i to był fantastyczny wybór. Fantastyczny.

JS:

Nastoletnia Krysia to pewnie nowe wybory, nowe spojrzenie na świat, nowe spojrzenie na Słupsk. Czy ono się zmieniło?

KDW:

Przyznam, że doświadczyłam jednak takiego bardziej świadomego poznawania Słupska, ale powiem, dlaczego ten ekonomik się okazał taki świetny. Po pierwsze, miałam kapitalnych nauczycieli, którzy do dzisiaj są w mojej pamięci i w sercu. Niestety, coraz częściej żegnam ich nad grobem. Często robię to rzeczywiście osobiście jako bardzo wdzięczna ich wychowanka, bo oni byli moimi mentorami. Profesor Ledlo, świetny matematyk. Z moich nauczycieli został jeszcze profesor Konrad, który był wicedyrektorem, nauczycielem historii w WOS-u. I oni kształtowali nas nie tylko zawodowo na tych przyszłych ekonomistów. Miałam 24 przedmioty, przy 15-tu, które były w ogólniaku. Miałam zawodowe przedmioty i miałam podwójne egzaminy. W czwartej klasie miałam egzamin zawodowy na technika, księgowości, ekonomii i musiałam pisać pracę dyplomową, a potem miałam egzamin maturalny. W tym samym roku dwa egzaminy.

Dlaczego Słupsk poznałam inaczej? Bo myśmy mieli praktyki obowiązkowe miesięczne w zakładach pracy. Ja miałam pierwszą praktykę w fabryce mebli przy ulicy Krzywoustego. Do dzisiaj płaczę, kiedy patrzę na to puste miejsce po fabryce mebli. Nie dlatego, że ta fabryka powinna istnieć, ale dlatego, że tam się nic nie dzieje. Na marginesie spotkałam się z właścicielami tego terenu. Znowu, żeby ponaglać, żeby zaczęli tam inwestować. Więc w fabryce mebli. A potem w drugim roku miałam pracę w SAFO i pisałam pracę dyplomową właśnie dotyczącą ekonomiki zarządzania w SAFO. I z konieczności 17-18-letnia dziewczyna poznawała po pierwsze zakład pracy od wewnątrz, bo musiałam poznać wszystkie stanowiska pracy, w tym także księgowość. Więc myślę, że moja wiedza o Słupsku, przynajmniej z tej perspektywy Słupska pracującego, ciężko pracującego, była inna niż wielu moich kolegów z klas ogólnokształcących.

I też aktywizowałam się społecznie, ponieważ to właśnie w szkole średniej, w pierwszej klasie zostałam szefową samorządu szkolnego. Dosyć szybki był ten wybór, fajny. Ale też myśmy w trzeciej, w czwartej klasie chodzili na tak zwane rajdy szlakiem zdobywców Wału Pomorskiego. To była fajna edukacja historyczna, ponieważ przez jeden tydzień, pierwszy tydzień czerwca, kiedy już te lekcje były trochę luźniejsze, młodzież z całej Polski zjeżdżała się do Szczecinka albo do Wałcza i codziennie szliśmy 30-35 kilometrów na pieszo z plecakami,

żeby trafić do miejsca kolejnego historycznego wydarzenia. Na przykład w Podgajach, gdzie była straszna zbrodnia już po, właśnie w momencie zakończenia II Wojny Światowej. I te wieczory kończyły się tym, że przy ognisku spotykaliśmy się z kombatantami czasów II Wojny Światowej. To były piękne, żywe lekcje historii. Stąd pamiętam wszystkie pieśni patriotyczne i wszystkie pieśni partyzanckie, bo się śpiewało wieczorami, poznawało się mnóstwo ludzi. Więc ta edukacja taka zawodowa plus historyczna, bez jakiegoś partyjnego podtekstu naprawdę, była taką szkołą dla mnie życia poznawania miasta, poznawania historii, poszanowania dla tej przeszłości dawnej i tej przeszłości niedalekiej. Bardzo intensywna była ta młodość.

A jeszcze jedna edukacyjna, fajna historia. Mieliśmy taką grupę przyjaciół, do której należą na przykład świętej pamięci Andrzej Obecny, mój kolega jeszcze z podstawówki, z jednej ławki, który wymyślił, kiedy byliśmy w szkole średniej, a on w Technikum Elektrycznym, że tworzymy grupę młodzieży i robimy sobie podchody po Słupsku. Nie w lesie, ale po Słupsku. Polegało to na tym, że kilka grup ruszało w miasto i kiedy przychodziło, miało opowiedzieć, co zobaczyło, co odwiedziło. I ten, który najwięcej zapamiętał, wygrywał te podchody.

JS:

A kto sędziował? Kto przyznał punkty?

KDW:

Myślę, że takim ambitnym był chyba Krzysiu Kido, bo on miał też sporą wiedzę, też kolega z... ten sam rocznik. Jakoś chyba sami ustalaliśmy, kto na pewno najwięcej poznał. Stąd na przykład moja znajomość zabytków z tamtego czasu gdzieś utrwaliła się przez lata. Ja nie chcę powiedzieć, żebyśmy byli jakąś wyjątkową młodzieżą. Ale pamiętajcie, nie było internetu, nie było telefonów nawet stacjonarnych. Czytaliśmy bardzo dużo książek. Chodziliśmy sobie po mieście nie tylko dla celów towarzyskich, ale też... Ale rzeczywiście tego miasta się tak fajnie uczyliśmy.

JS:

Padło takie słowo praca. Nastoletnia Krysia już pewnie miała swoje potrzeby, które chciała zaspokajać w normalny sposób, kupować sobie rzeczy. Choć w tamtych czasach pewnie nie było to takie łatwe.

KDW:

Wszyscy mieliśmy te same rzeczy.

JS:

Tak, ale na pewno można było gdzieś pracować. Czy taka nastoletnia Krysia miała gdzie pracować?

KDW:

Chcę powiedzieć, panie redaktorze, że to nie było tak, że młodzież rzeczywiście miała takie możliwości. Bo ten czas, kiedy młodzież dzisiaj w wakacje pracuje, w ośrodkach wypoczynkowych, w restauracjach itd. - jeszcze na to nie było takiej popularności. Moi koledzy z większych miast wyjeżdżali, no już po osiemnastym roku gdzieś tam za granicę. Pracowali w hotelach, barach. To fajne doświadczenie, bo przy okazji język szlifowali.

Natomiast dla nas takiej możliwości może trochę nie było, ale też sytuacja była tego typu, że: jeżeli ktoś mi dzisiaj mówi, że ja nie znam na przykład pracy, bo byłam nauczycielką, to się myli. Bo ja znam bardzo, bardzo, bardzo mocno pracę fizyczną. Tak się zdarzyło. Ta opowieść trochę się osobista staje. Moi rodzice...Tata wyszedł z wojska. Były trzy dziewczyny w domu, a mama nie pracowała. I rodzice mieli świadomość, że z jednej pensji taty będzie ciężko wyżyć. Ponieważ obydwój rodzice pochodzili ze wsi. Mama z lubelskiej wsi, tata z białoruskiej. I poszanowanie ziemi mieli w takim swoim DNA. I pracę na ziemi. Pomyśleli, że dobrze będzie, jak wydzierżawią od prywatnych gospodarzy, a potem także od miasta pamiętam na Westerplatte - pole. I tam uprawialiśmy, mieliśmy w pewnym momencie dwanaście hektarów pola, na którym najpierw, jako siedmioletnia Krysia, zbierałam rumianek. Ten rumianek, który był uprawiany przez naszą rodzinę, wysuszony, sprzedawaliśmy w Herbapolu. Był taki punkt Herbapolu. Więc herbatki z rumianka zbierane były, rumianek był zbierany przez mnie na tę herbatkę. Zbierałam głóg, suszony, sprzedawaliśmy w Herbapolu. I moje pierwsze pieniądze to były naprawdę na kapturki, na książki. Ale potem już była poważniejsza praca, bo do 33-go roku mojego życia, czyli jak pracowałam w szkole średniej, rodzice mieli te piętnaście - dwanaście hektarów ziemi. I myśmy uprawiali różne rzeczy. Różne, oczywiście uprawy. Najbardziej takim znaczącym był tak zwany sporysz. To jest właściwie trucizna w życiu. Specjalnie żyto było zakazane, że między ziarnami żyta rósł sporysz, był zbierany przez nas przez całe wakacje z kłosek rosnących żyta, był też oddawany do Herbapolu. I to był bardzo, bardzo dobry zarobek, z którego dzięki temu na pewno mogłam studiować spokojnie, w dobrym standardzie. Czyli rodzice mieli naprawdę, my jako rodzina mieliśmy dobry standard życia. To była praca od kwietnia dla rodziców, a dla mnie i dla moich sióstr: Czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień to była praca z rodzicami na polu. Szanuję ludzi pracy, szanuję pracę, wiem co znaczy naprawdę ciężka praca i wiem, że praca popłaca, w to głęboko wierzę.

JS:

Kończy się szkoła średnia i kończy się przez chwilę bytność nastoletniej Krysi w Słupsku, bo wybór pada na pobliskie Trójmiasto.

KDW:

Przyznaję, że miałam dylemat, dlatego, że ja przez kilka lat trenowałam siatkówkę i zaczęłam w siódmej klasie z takimi dziewczynami, których nazwiska przypomnę, bo to one stworzyły później potęgę siatkówki żeńskiej w Słupsku. To była Maryla Kaźmierczak, to była Krysia Ruć, potem Gójska, to była Agnieszka Chmura, potem Sztorc, to była Zenka Jędrzejczak, to była Maryla Barchanowska. Właściwie pierwszy skład drugoligowych Czarnych, który potem awansował do pierwszej ligi i został już przyjęty przez trenera Krzyżanowskiego, to były Słupszczanki, tylko Słupszczanki.

To one w latach 70. na początku upowszechniały piłkę siatkową i to one potem tworzyły pierwszoligową i ekstrakligową drużynę, bo te dziewczyny, które wymieniałam, grały przez wiele, wiele lat w ekstraklidzie. Natomiast ze względu na to pole, o którym wspominałam, niestety nie mogłam iść na wakacje, na obozy sportowe i rodzice mi trochę dali wybór. No albo studia późniejsze, gdzieś za jakieś pieniądze wypracowane na tym polu albo zostajesz w Słupsku i studiujesz na uczelni w Słupsku i pracujesz w Słupsku. Ja wybrałam Gdańsk, bo o tym marzyłam. Chciałam do Gdańska wrócić mojego rodzinnego, miałam tam przyjaciół,

znajomych. Choć uczelnia i kierunek był dwie minuty ode mnie, bo filologia polska, którą wybrałam po ekonomiku, była także na Wyższej Szkole Nauczycielskiej, ale ja nie chciałam być nauczycielką. Ja chciałam być filologiem polskim. Różne miałam marzenia. Ja skończyłam teatrologię i filmoznawstwo jako specjalizację, ale też pedagogikę na szczęście, bo jednak te studia w Gdańsku, pięcioletnie i późniejsza praktyka w pierwszym liceum pokazały, że jakoś ten zawód nauczycielski chyba jednak jest mi najbardziej pisany. Ale przygoda w Gdańsku była cudna.

JS:

Ja nad Gdańskiem nie chcę się za bardzo rozwodzić, bo rozmawiamy przecież o Słupsku, ale ten wątek gdański jest bardzo interesujący, ponieważ tam w Gdańsku studiowała Pani z jedną z naszych bohaterek i również razem tam mieszkałyście.

KDW:

W Gdańsku poznałam się z Jolą Nitkowską. Dzisiaj Jolą Nitkowską-Węglarz, Honorową Obywatelką Miasta Słupska, literatką, która wydała już trzydzieści książek i zamierza kolejną. Ja Jolę znałam ze Słupska i powiem, z tej ulicy Wojska Polskiego, ponieważ ona mieszkała na Wojska Polskiego 12. A dlaczego ją pamiętam z ulicy, a nie skąd inąd? Bo Jola była charakterystyczną osobą. Wysoka, smukła, z wielkim blond warkoczem i takim wilczurem. Ona miała psa wilczura. Zawsze kochała wilczury. Jeszcze potem kilkakrotnie miała. I jak się chciało kogoś spotkać w Słupsku, chłopak Ci się podobał, dziewczyna Ci się podobała, to wystarczyło przyjść na Wojska Polskiego. Bo tu myśmy wszyscy chodzili tam i z powrotem. Tu były cukierenki, skromniutki, ale dla nas wtedy ważne. I tu było życie towarzyskie.

JS:

Centrum miasta była Wojska Polskiego.

KDW:

Dokładnie. Centrum miasta była na Wojska Polskiego. Ja Jolę zapamiętałam nie znając ją osobiście. Poznałyśmy się dopiero rzeczywiście na studiach, bo ona studiowała filologię polską i ja. Więc już poznałam ją osobiście. I gdzieś na trzecim roku zamieszkałyśmy razem w jednym pokoju w akademiku. Już tak do końca mieszkałyśmy i nasza przyjaźń wtedy się zaczęła, a dzisiaj trwa. Bardzo pięknie doświadczyłam tej przyjaźni i bardzo się zawsze serdecznie wspierałyśmy. Tak, Jola Nitkowska to jest moja przyjaciółka z filologii polskiej, a też bardzo wiele innych osób, potem znanych w Słupsku, w ogóle w Polsce. Bo to byli i literaci, Maciej Dejczer, to był mój serdeczny przyjaciel, reżyser, autor filmu ikonicznego „300 mil do nieba”. Był taki film o dwóch chłopcach, którzy uciekają pod samochodem się ukrywają te 300 mil do szczęścia i do wolności. To Maciej Dejczer. Kasia Bogucka-Krenc, która jest pisarką i malarką. Elwira Jarosławska, Olek Jurewicz, Stasiu Rosiek. To wielkie nazwiska w Gdańsku. Pierwsze spotkanie moje ze Stefanem Chwinem, dzisiaj literatem, to było takie, że on przychodził po swoją dziewczynę, która z nami studiowała, Krysie, i tak ją poznaliśmy, Filipa Bajona, reżysera poznaliśmy, bo miał dziewczynę na moim roku. Moją wykładowczynią była Pani Profesor Maria Janion. To wielkie nazwisko. Więc to był taki czas, kiedy intelektualnie bardzo, bardzo się na pewno rozwinęłam. Te horyzonty szerokie były, bo i Teatr Wybrzeże, właściwie każdego tygodnia byłam, miałam specjalność teatralną, film. Gdańsk był takim wtedy miastem bardzo dynamicznym, jeżeli chodzi o kulturę, zresztą pozostał takim. A mimo wszystko wróciłam do Słupska.

JS:

No właśnie, specjalnie wywołałem panią Jolę Nitkowską, teraz Nitkowską-Węglarz, ponieważ trochę się przyłożyła do tego, że wrócicie razem do Słupska, bo to był jej pomysł.

KDW:

Wszystko przez to, że Jola Nitkowska jest praktycznie myślącą osobą. Powiedziała: „Wiesz, Krysia, może tam jakąś teatrolożką kiedyś będziesz, ale warto mieć jeszcze jedną specjalizację nauczycielską”. Taka możliwość istniała, tylko trzeba było kilka rzeczy. Na czwartym roku chodzić na zajęcia z dydaktyki, z pedagogiki i zrobić specjalność jeszcze pedagogiczną. Ale elementem bardzo ważnym tej naszej praktyki było to, że trzeba było mieć zajęcia, właśnie ćwiczenia, jak ci studenci ze SN-u kiedyś w szkołach. Ja miałam w podstawówce w Gdańsku przez dwa tygodnie, a potem trzeba było mieć miesięczną praktykę w szkole średniej. I Jola, która skończyła pierwsze LO i była uczennicą absolutnie ikonicznej polonistki pani Haliny Sznigir, genialnej polonistki, która od niedawnego zjazdu absolwentów ma swoją salę. Gabinet, gdzie pani Hala Sznigir przez 45 lat uczyła w Ogólniaku, sala 209, nosi je imię. Więc Jola ustaliła, że będzie miała praktykę pani Hali Sznigir, na co się zgodziła pani Hala Sznigir, pan profesor, dyrektor Franciszek Pryba. Więc ja, w ogóle niczego nieświadoma, pomyślałam, okej, jakaś ciekawa przygoda. Przyjechałam we wrześniu na tą praktykę. Pani Hala Sznigir zrobiła rzecz fantastyczną, polecam to wszystkim, którzy będą mieli pod opieką młodych nauczycieli. Przez tydzień chodziłyśmy na jej zajęcia, do jej klas, obserwując ją. Po tygodniu powiedziała, a teraz, w ciągu tych trzech tygodni, ja na lekcjach polskiego w tej klasie miałabym taką lekturę, w tej taką. Proszę bardzo, Jola, ty masz te dwie klasy, Krysia ma te dwie klasy, jedną klasę na wspólnie się wymieniacie. Pamiętam, były to dwie klasy maturalne, jedna klasa pierwsza, jedna druga i jedna trzecia. Pięć klas.

No i na głęboką wodę puszczono prowadziłyśmy lekcje, a ona była obserwatorką tych lekcji. Na jedną z lekcji przyszedł pan dyrektor Fryba, miał obowiązek hospitacji studentek. I po tej lekcji, i to nie, i teraz będę samochwałą, ale naprawdę cytuję sytuację, po tej lekcji u mnie, poprosił mnie na rozmowę. Pyta się, czy mam plany zawodowe po skończeniu studiów, mówię, że nie mam. To gdybym chciała uczyć w pierwszym ogólniaku, to mnie zaprasza. Bo widzi, pewnie tego nie powiedziałam, tak domyślam się teraz, widzi we mnie pewien potencjał. Przyjął to jako komplement. Ta praktyka dzisiaj zostawiła we mnie ślady przyjaźni z wieloma ludźmi, których...wtedy byli moimi uczniami. Ale rzeczywiście kończyłam te studia i zapytałam się pana dyrektora, czy będzie zainteresowany. Bo postanowiłam, że do Słupska wracam z jednego powodu. Chłopak był ze Słupska.

JS:

No właśnie, miłość.

KDW:

Chłopak wprawdzie po miesiącu mojej pracy przestał być zainteresowany, wzajemnie. Powiedział, że nie chce mieć żony, wariatki, nauczycielki, bo ja przeżywałam każdą lekcję. I to nie okazał się przyjacielem wspierającym, ale ja z tej propozycji dyrektora skorzystałam. No i 1 września 1977 roku, jak to mówi w Konopielce młoda, dopowiem, pełna entuzjazmu, dziewczyna, 24-letnia, rozpoczęła swoją przygodę w pierwszym ogólniaku, dostając od razu

trzy klasy maturalne do wyprowadzenia, trzy maturalne klasy. Stu uczniów, których powinnam była szybko przygotować do egzaminu maturalnego. Jedną klasę wychowawczą pierwszą, humanistyczną, której to uczennicami jest na przykład dzisiejsza dyrektorka Muzeum Marzena Mazur, wtedy Gongąła, radna Małgosia Leonard, wtedy Milewska, Renia Draszanowska, dyrektorka ekonomika, wtedy Renata... hmm...zapomniałam. I jeszcze kilka osób znanych dzisiaj. To były moje wychowanki pierwsze.

SJ:

Tutaj różnica wieku była naprawdę niewielka, prawda?

KDW:

Tak. Jak szłam na pierwszą lekcję do klasy biologiczno-chemicznej maturalnej, to przechodziłam obok sali 306 i tam stała taka silna ekipa młodych mężczyzn. Klasa matematyczno-fizyczna. Ja sobie szłam taka wyluzowana, w sukience dżinsowej. Mówię o tym, dlatego że to nie było takie oczywiste wtedy. Spodnie dżinsowe. Trochę byłam inna na pewno niż nauczyciele, już dosyć nobliwi w naszej szkole. I taki tekst usłyszałam z ust mężczyzny młodego, „Ale..” na cztery litery. Pomyślałam sobie, „Jezu, chyba mnie obraża.” Ale uznałam, że to jest raczej podkreślenie hmm atrakcyjności. I się oczywiście nie obraziłam. Potem już wiedziałam, że to był autorem tychże słów. Nawet się zaprzyjaźniliśmy. Więc rzeczywiście to było doświadczenie, przyznaję, bardzo, bardzo pracowite. Bo ja pracowałam słowo daję - codziennie do trzeciej rano. Siedziałam przy biurku w swoim mieszkaniu na Arciszewskiego. Sprawdziałam wypracowania. Przygotowywałam się do szkoły. Przecież filologia polska nie uczy tego, jak być nauczycielem. Daje pewne podstawy, dydaktyki, metodyki, ale to samemu trzeba sobie pracować. Więc układanie konspektów lekcji do tych pięciu różnych klas. Przygotowywanie takiego, takie symulowanie pytań, odpowiedzi. Bo przecież praca nauczyciela polega na tym, że jest właściwie w 45 minut w takim w takim staniu. On musi być bardzo, bardzo uważny. Jeżeli chce być dobrym nauczycielem, to musi wiedzieć, jakie pytanie zadać. Nie tylko zadawać pytania. Dawać młodzieży się wygadać.

Więc myślę, że powiodło mi się to na pewno, że zrobiłam coś, co mi przynosiło nieprawdopodobną frajdę. Naprawdę. Ponadto, to co było jeszcze chyba fajnego, że miałam te maturalne klasy, to byli dosyć dojrzały ludzie. Oni byli pięć lat ode mnie młodszy, niektórzy cztery, jeśli uczyli się więcej niż pięć, cztery lata w ogólniaku, a tak bywało. Dzisiaj to są moi przyjaciele. Naprawdę. Potem byłam matką chrzestną ich dzieci, świadkowałam im na ślubach. Te przyjaźnie, dzisiejsze moje przyjaźnie, większość to są z czasów tamtejszych. Więc to to jest, ja wiem, piękny kapitał, który zyskałam, będąc nauczycielką. No i te trzydzieści lat w ogólniaku, cokolwiek bym mówiła o moich innych doświadczeniach zawodowych, to jest najbardziej, najważniejszy okres w moim życiu. Naprawdę. On też mnie uczył myślenia o mieście innym.

JS:

Właśnie, zanim rozwiniemy wątek liceum ogólnokształcącego, bo o tym możemy mówić pewnie bardzo długo, ja chciałbym jeszcze się zatrzymać na chwilę, na ten moment przyjazdu z Gdańska do Słupska i tego takiego trochę porównania po czasach studenckich, po wielkim Gdańsku, wielkim Trójmieście, w którym się bardzo dużo dzieje i Słupska, który wyglądał być może trochę szaro w porównaniu z Trójmiastem.

KDW:

Jacka na świecie chyba jeszcze nie było? Panie redaktorze, był pan?

JS:

Byłem chyba już, że tak powiem, w fazie embrionalnej.

KDW:

Okej, dobra. Więc tak, po pierwsze w Gdańsku się wtedy tak strasznie dużo nie działo, bo mamy trochę wyobrażenie tego dzisiejszego Gdańska, który jest pięknym, dynamicznym, z wielką propozycją imprez kulturalnych i innych. Ale Gdańsk czasów moich studenckich, to jest Gdańsk stoczniowy przede wszystkim. To jest Gdańsk bez życia wokół Motławy. Dzisiaj tam jest życie, bo Motława została, budynki z jednej i drugiej strony zostały odtworzone. Niektóre wyremontowane, niektóre odtworzone po drugiej stronie. A tam były wtedy dziurawe, jeszcze z kulami powojennymi. Gdańsk w ogóle nie był atrakcyjny. Wiecie co było atrakcyjne? Gdynia była atrakcyjna. Ze Świętojańską i marynarzami. Sopot był atrakcyjny. Tylko w jednym miejscu. Do dziś tak trochę jest Monte Cassino. Gdańsk był atrakcyjny we Wrzeszczu i ulica Długa i nic więcej. Natomiast Słupsk przez swoją kompaktowość, oczywiście inaczej to patrzyliśmy, ale ja Państwu teraz opowiem, jak się działo w Słupsku. Po pierwsze w Słupsku było wtedy pięć kin. Bo były kina, jeszcze był Dom Kultury Kolejarz, który naprawdę tętnił życiem. Tutaj, gdzie jest Rondo Solidarności. I tam było mnóstwo zespołów wokalnych, instrumentalnych, tanecznych z genialną Romą Koza, która była dyrektorką Domu Kultury Kolejarz. I wychowała naprawdę fantastyczne osoby. Dom Kultury Kolejarz. Kino Milenium już było tym kultowym kinem, ale poza tym było Kino Polonia, Kino Gwardia przy Szkole Policji, jeszcze wtedy dostępne trochę. Było Kino Ustronie, Wiedza. To się działo. Stary Teatr. Słuchajcie, to jest kultowe miejsce, o którym pewnie wiele osób mówi w redakcji czy w SOK-u. Nie wiem, czy na sali są osoby, które pamiętają jeszcze Stary Teatr. Ten Stary Teatr był rzeczywiście bardzo stary. On stał w miejscu, gdzie dzisiaj jest Park Waldorfa. Wzdłuż Jaracza były sklepiki. Jagiełty, przepraszam. Były sklepiki, ja pamiętam, sklepiki rowerowe. Takie budki to były bardziej. Ale w tym centrum stał Stary Teatr. Ja pamiętam z tego teatru po pierwsze koncerty słupskich zespołów, a ich było mnóstwo. Dość powiedzieć, że kiedy w 1988 roku, jako wicedyrektorka Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego organizowałam pierwszy Festiwal Dinozaurów Słupskich, to myśmy mieli koncert, który trwał dwie godziny. I się prezentowało kilkanaście zespołów muzycznych. Więc życie muzyczne Słupska, które potem opisał nie tak dawno Marian Szarmach w swojej książce „Słupsk otulony muzyką”, było niezwykle bogate. Klubów różnego rodzaju, gdzie się bawiliśmy w każdą sobotę, było kilkanaście. *Nastolatka* na Konopnickie, *Jubilatka* na Garncarskiej, to był klub Czynu. *Parnas*, tam gdzie jest Biedronka, na Sobieskiego. *Plejady*, klub na Sienkiewicza 21. Dzisiaj niedawno otwarta klinika zdrowia. A wtedy klub, który pomieścił nas 300 tańczących osób. Więc to życie kulturalne, takie towarzyskie, było bardzo, bardzo bogate. Za moment powstał Teatr Muzyczny w Słupsku. W 76 roku. Teatr Muzyczny, który do dzisiaj jest siedzibą Filharmonii, ale w tym Teatrze Muzycznym odbywały się genialne premiery, naprawdę europejskie, no może...ale na pewno polskiej sławy, jak chociażby Opera za trzy grosze. Marcin Prus był jej dyrektorem.

Naprawdę dużo się działo. Jurek Karnicki zaczął swoją karierę tutaj. Mariusz Bonaszewski, Krzysiek Kluzik, dzisiejsi aktorzy, oni zaczęli gdzieś doświadczenia swoje w słupskim teatrze.

Wreszcie, to co było chyba bardzo też ważne, więc mieliśmy gdzie słuchać muzyki, gdzie tańczyć i też prestiż Słupska kulturalnego był dosyć znaczący, ponieważ odbywały się festiwale, do dzisiaj trwające, Festiwal Pianistyki Polskiej, który odbywał się właśnie w tej siedzibie Teatru Muzycznego czy Teatru Dramatycznego, ale on dawał pewien rozgłos, bo przyjeżdżał Waldorf na te festiwale, którego miałam przyjemność poznać.

JS:

...ze swoim pieskiem

KDW:

Ze swoim pieskiem...Dlatego musieliśmy go uczyć tą ławeczką, ponieważ on naprawdę rozślawiał Słupsk, więc to miasto było wtedy miastem powiatowym, potem wojewódzkim, przeszło stu tysięcznym za moment i tu się w takim mieście dosyć dużo działo, pamiętajcie, że był Teatr Dramatyczny, był teatr Lalki Tęcza do dzisiaj istniejący, potem powstało Ośrodek Teatralny Rondo, gdzie się działy naprawdę fantastyczne rzeczy, też w sferze kultury, chociażby przeglądy Słupski Tydzień Teatralny. W ramach Słupskiego Tygodnia Teatralnego po raz pierwszy z Zakopanego wyjechał po raz pierwszy Dziuk ze swoim teatrem Witkacego. Powiedział, że tylko dlatego do Słupska przyjedzie, że tu są obrazy Witkacego i przyjedzie wtedy, jeżeli pozwolimy jemu zagrać w siedzibie Muzeum przy Witkacym. Oczywiście, że pozwoliliśmy. I on potem już nie wyjeżdżał z Zakopanego, to jest taki teatr, który siedzi na miejscu. Tu były genialne festiwale Totus Mundus, czyli taki festiwal szalony, który Mirek Gniecki, dzisiaj szef Teatru Stop, organizował w Słupsku. Sienkiewicz przebrany, ubrany w papier toaletowy, prowokował, a ludzie byli oburzeni. Ale to chodziło o to, żeby teatr też poruszał. Więc jak na takie nieduże miasto, naprawdę się działo bardzo wiele i te potrzeby takie bycia w sferze kultury były zaspokajane przez wielu.

I w sport. Ten sport był zawsze siłą Słupska. Chodziło się na mecze Gryfa, najpierw na stadion, 650-lecia. Mecze siatkówki, kobiet, no wiecie, ekstraklasa jednak, mistrzyni Polski, boks. Więc tu się naprawdę na takie miasto wiele działo. I wiecie, jak to bywa. Jak się jest w dużym mieście i tam się w tym mieście pracuje, to tak: połowę drogi powrotnej to zajmują korki. Zapytajcie się Warszawiaków, czy Gdańszczan. A my nie musieliśmy stać w korkach. Wszędzie można było dojść. Myśmy mogli wszędzie dojść, więc ja nigdy nie czułam kompleksu bycia w mniejszym mieście. Bo to, co jest dla mnie takim - wartością, bo ja rzeczywiście potrzebuję jak powietrza bycia w działaniach kulturotwórczych i sportowych, ja to wszystko miałam zaspokojone. Ale też, wiedząc o tym, jak bardzo ważne jest to aktywizowanie w kulturze, to zapytacie się moich wychowanków z ogólniaka: Jola Krawczykiewicz, moja wychowanka, dyrektorka SOK-u, którą zaprzyjaźniłam z Rondem, bo ją wysyłałam na konkursy recytatorskie, powiedziałyby to.

Ja nauczyłam moją młodzież, że naszym obowiązkiem uczniów, przynajmniej liceum, jest to, żeby w teatrze się było. Moja szkoła zawsze była obecna na każdej premierze teatru. Do dzisiaj aktorzy wspominają. Wykupowaliśmy całą widownię w Teatrze Dramatycznym. Chodziliśmy na każdą premierę i aktorzy do dzisiaj mówią, że bardzo byli zmobilizowani, bo

przychodziła młodzież do teatru, bo wierzyłam w to, że ta młodzież też może mieć satysfakcję. A spektakle były doskonałe, bo i aktorzy byli świetni, więc Słupsk zaspakajał moje potrzeby, których uważam, bym nie zaspokoila w Gdańsku, bo nie miałabym na to czasu.

JS:

Musimy się trochę prześlizgnąć przez ten czas, gdy była pani w liceum ogólnokształcącym. Warto wspomnieć o tym, że z nauczycielki stała się pani dyrektorem tej szkoły.

KDW:

To jest w ogóle ciekawa historia, bo ja po raz pierwszy dostałam propozycję. Wiesz jak to jest - to wszyscy znamy. Ja robiłam dużo rzeczy, bo ja po prostu lubiłam, żeby była jasność. Mnie nikt nie kazał prowadzić teatru szkolnego, samorządu szkolnego, robić dyskoteki co miesiąc, a tak się działo w naszym ogólniaku, robić dyżury klasowe szalone, dekorować szkołę. Tego nikt nie kazał. Ja to bardzo lubiłam, bo uważałam, że to jest sens i z młodzieżą się chciało takie rzeczy robić. I kiedy dyrektor Pryba odchodził na emeryturę, zaproponował, żebym pomyślała o tym, czy nie chcę być dyrektorem. Wiecie, co słyszy nauczyciel najczęściej, jak jest w szkole? Dach przeciekający, pieniędzy brak na pomoce, i tak dalej, i tak dalej. Myślę, Boże drogi, ja nie chcę mieć takich problemów na głowie. I się nie zgodziłam. Ale zostałam wicedyrektorką z namowy Romka Szmytkowskiego, fizyka świetnego zresztą, który został dyrektorem, poprosił mnie, żebym była jego zastępczynią. I to jest bardzo fajne doświadczenie, bo z pozycji tej drugiej, która nie musi brać na siebie problemu przeciekającego dachu, bo to dyrektora działka, okazało się, że można być sprawczym inaczej. Można rzeczywiście fajne rzeczy wprowadzać, bo to jest zawsze jakiś rodzaj zadania do wykonania. I rzeczywiście to bycie przez chyba osiem lat wicedyrektorką pozwoliło mi... Cztery lata. Cztery lata byłam wicedyrektorką, pozwoliło mi przestać się bać wyzwań, jakie stawia szkoła. I po czterech latach rzeczywiście wystartowałam w konkursie, zostałam przez dwie kadencje dyrektorką pierwszego ogólniaka i uważam, że to był bardzo fajny czas dla mnie. A też uważam, że życia szkoły.

JS:

Zbliżamy się do końcówki XX wieku, do początku lat dziewięćdziesiątych. To jest w całej Polsce czas wielkich zmian, nadziei. Jak wówczas wyglądał Słupsk? Jak wówczas myślała już Krystyna, która jest kobietą, dojrzałą?

KDW:

Wiecie Państwo, mam takie poczucie w sobie tak ogromne i ja to nazywam jednak odważnie wolności, która sprawiała, że ja nigdy nie wstąpiłam do żadnej partii, do żadnej organizacji, nigdy. Miałam propozycje, nie ukrywam, z różnych stron uważano, że w ogóle powinnam. A ja chcę zadać kłam temu przekonaniu, że wtedy można zrobić jakąś popularność zawodową, kiedy się było członkiem partii. Otóż nie, bo mój przykład temu zaprzecza. Nie byłam w żadnej partii, nie byłam nigdy zaangażowana jakoś partyjnie, politycznie, ale zawsze bardzo społecznie. Pierwszy ogląd Słupska z takiej pozycji, jak można nim zarządzać, miałam w osiemdziesiątych latach, bo byłam przez kilka lat rzecznikiem prasowym prezydenta, taką propozycję dostałam, ale pod warunkiem przyjął ją, że będę mogła łączyć to z pracą w szkole. Czyli uczyłam w szkole i byłam rzecznikiem prasowym prezydenta i poznałam miasto zupełnie z innej perspektywy.

Ba, zostałam w osiemdziesiątym siódmym roku radną tej ostatniej jeszcze miejskiej Rady Narodowej, więc to było inne doświadczenie. No i jest rok osiemdziesiąty dziewiąty, są wybory do parlamentu, jestem w komisji wyborczej i w nocy się okazuje, że zamiary niejakiego pana Czarzastego, który był szefem odpowiedzialnym za sukces PZPR-u, legły w gruzy, bo on mówił, że martwił się tym, co zrobią z tą ilością mandatów, bo to był kontraktowy sejm, kiedy wygrają. No nie wygrali tych wyborów i w nocy się okazało, że kończy się ta Polska o ustroju socjalistycznym, bo wiedzieliśmy, że to już jest historyczny moment.

Wtedy senatorem został Henryk Grzędzielski, który w dogrywce wygrał z Ryszardem Kurylczykiem. Parlament był kontraktowy jeszcze, prezydentem został, pamiętajcie, też kontraktowym prezydent Jaruzelski przez rok, ale myśmy zaczęli inaczej oddychać. Polska była bardzo biedna, to musimy powiedzieć.

Słupsk też był biednym. Był miastem wprowadzie wojewódzkim, ale ciągle jeszcze na takiej zasadzie, że wtedy mógł cokolwiek rozbudowywać, czy budować, kiedy dostał środki z centrali. Nie były to środki wypracowywane przez nas i zostające, te, które zostawały w Słupsk. Natomiast szedł ten powiew nowości, chociaż nikt z nas nie wiedział do końca, jak on będzie wyglądał. No i przychodzą lata bardzo biedne, pamiętajcie, dla wszystkich. Reforma, słynna reforma Balcerowicza daje w kości każdemu i miastu.

JS:

Czyli początek lat dziewięćdziesiątych.

KDW:

Tak. I w dziewiątym roku zostaję radną Rady Miejskiej, tej nowej Rady Miejskiej, gdzie jest 45 radnych, 30 Solidarność. Ja jestem w grupie 10 radnych sympatyków Unii Wolności Komitet Obywatelski i piątka jest z różnych innych jeszcze wtedy istniejących partii SLD, PZP, czy SL jakiejś innej partii. To bardzo trudne czasy, bo trzeba dokonywać tak naprawdę reformy, także w mieście. Komunalizować miasto. My stajemy się gospodarzami swojego miasta. My, mieszkańcy miasta. To od nas teraz będzie zależało, jak się Słupsk będzie rozwijał. Pieniądze wypracowane przez nas będą zostawały w dużym stopniu w Słupsku i trzeba będzie tymi pieniędzmi umieć zarządzać.

Bardzo ciekawe doświadczenie. Z perspektywy tych 20-35 lat od tamtej zmiany mogę powiedzieć, że się Słupsk stał kompletnie innym miastem. Ludzie tego może nie wiedzą. Mieli pretensje. Czasami mają pretensje o likwidacji, nie wiem, SAFO. O to, że upadły fabryki mebli na przykład. Tylko to była zmiana, to transformacja gospodarcza także. Te zakłady, tak zwane państwowe zakłady, stawały się albo spółkami, bo miały być, miały mieć konkretnego właściciela. Samorząd nie mógł być właścicielem zakładów prac, także nie jest winą samorządu, że nie ma, że Famarol nie jest miejski, czy że Alka upadła. To były państwowe zakłady. Zmieniała się kompletnie optyka i gospodarka. Większość zakładów przeszła w tak zwane narodowe fundusze inwestycyjne i chodzi o to, żeby na przykład dyrektor tejże fabryki państwowej znajdował partnera, który będzie chciał zainwestować w tą fabrykę.

Z tamtego czasu jedyny zakład, który się ostał i rozwinął, to była Kapena. Mówię to z pewną satysfakcją, ponieważ Sylwester Wojewódzki znalazł takiego inwestora, żeby ta Kapena, która

przestała świadczyć usługi naprawy autobusów, bo już nie naprawiano autobusów, tylko je produkowano, znalazł partnera w dalekiej Szwecji, zaprzyjaźnił się z prezydentem Skani, bo tak się nazywał dyrektor Skani i przez sympatię osobistą Skania wtedy w 1993 roku przyszła do Słupska. Formą John Venture przejęła część Kapeny i tam zaczęła produkować najpierw ciężarowe samochody, a potem autobusy.

30 lat Kapena istniała jako...potencjał Kapeny był wykorzystany przez Skanię i 800 tys. osób tam pracowało. Mówię o tym też z satysfakcją, że tak się zdarzyło, ale też z żalem, że Skania po tych 30 latach już jako grupa kapitałowa Volkswagena wyszła ze Słupska, bo to była realna strata i miejsc pracy, no i przede wszystkim tego potencjału do dzisiaj niewykorzystanego. Także ta sytuacja sprawiła, że Słupsk stał się powoli innym miastem rzeczywiście i na pewno jest miastem mniej przemysłowym niż był, bo pamiętajcie Państwo, że mówiąc o Słupsku tamtych czasów, 70-tych, 80-tych lat myślę o tym, że tak istniał potężny zakład Sezamor, nie ma śladu po Sezamrze, w to miejsce jest Jantar. Chichot historii, ale Sezamor przestał istnieć wtedy, kiedy tak naprawdę w 90-tych latach padł przemysł okrętowy, bo on świadczył usługi, podobnie jak stocznia Ustka. Czyli nikt nie miał złej woli, tylko ta zmiana sprawiała, że zaczął inny, inaczej funkcjonować gospodarka. Famarol w szczątkowej postaci istnieje do dzisiaj. To są ileś tam prywatnych spółek. SAFO na Szczecińskiej, do którego mam szczególny sentyment, bo tam pracował mój tatuś, a ja miałam swoją praktykę zawodową, przestało istnieć, tam są dzisiaj budynki mieszkalne. Dalej, Skania została, jak powiedziałam, i do dzisiaj istnieje jeszcze już teraz nie tylko siedziba poskaniowska i część pracy w Kobylnicy. Fabryki mebli, pięć było w Słupsku. Jeszcze w latach osiemdziesiątych, pięć fabryk. W jednym terenie jest sklep Black & White, inny stoi do zagospodarowania, ale ta reforma ustrojowa, to była także reforma gospodarcza, z którą się dzisiaj zwyczajnie musimy pogodzić. No i największy zakład. Ten zakład, który na pewno sprawiał, że Słupsk był rozpoznawalny, czyli północne zakłady przemysłu skózanego Alka, one upowszechniały wiedzę o Słupsku, na pewno. Tam pracowało trzy i pół tysiąca ludzi. Ci ludzie, w większości, to potem mieszkańcy osiedla Niepodległości, bo osiedle Niepodległości zbudowało się właśnie dlatego, że ludzie potrzebowali mieszkań, ludzie pracujący między innymi w Alce. Ale kiedy Alka przestała istnieć, bo już tego rodzaju firmy przestawały istnieć, to powstało mnóstwo innych mniejszych fabryk: Nord, Gino Rossi, Jan, Saab i tak dalej. Bo ludzie tam pracujący, którzy mieli orientację, co jeszcze robić w tej branży, zakładali mniejsze zakłady. I nie można mieć pretensji do historii, że tak się zdarzyło, bo takie są prawa tej zmiany ustroju, które miały i dobre, żeby jasność, no i złe swoje strony dla wielu ludzi.

JS:

Ja zakładając, jak ta rozmowa będzie przebiegać, wymyśliłem sobie, że zakończymy ją właśnie na końcówce ubiegłego wieku, bo przecież tą ćwiartkę wieku XXI to moglibyśmy przeprowadzić i pewnie nie raz przeprowadzać będziemy długą, inną rozmowę. Ale chciałbym, żebyśmy skończyli tę naszą rozmowę o Słupsku lat...końcówki dziewięćdziesiątych. Sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, dziewięćdziesiątych jakimś takim pozytywnym akcentem. Chciałbym również trochę spiąć klamrą to, co działo się w pani życiu, bo dziś jest pani drugą kadencję Prezydentem, Prezydentką miasta Słupska. Czy mała Kryśka, od której zaczynaliśmy, myślała kiedyś o tym, żeby zostać Prezydentką?

KDW:

Margaret Thatcher, która nie jest może bohaterką mojej opowieści, w sensie takim, że jakoś się wzorowałam na niej, nie, ale ona kiedyś powiedziała takie słowa, które myślę, że nam są potrzebne, nam kobietom, każdego pokolenia, że potulne kobiety nigdy nie przechodzą do historii. Ja rozumiem to w ten sposób, to nie jest tak, że ja chciałam przejść do historii. Czy że to jest moja ambicja, żebym była zapamiętana. Ja zawsze byłam aktywna. Naprawdę. Mała Krysia, o której pan redaktor mówił, to miała pięć lat, kiedy pasażerka całej ulicy mieszkającej gęsi. Ponieważ na Arciszewskiego, proszę Państwa, były kurniki, były gąski hodowane, ba nawet niektórzy świnki, bo myśmy mieszkali prawie w lesie. I kiedy trzeba było te gąski z jednej strony ulicy przeprowadzić, żeby wejść do parku, ja mieszkałam w parku, to Krysia przeprowadzała gąski sąsiadom i pasażerka te gąski.

Mam to, tylko zdjęcia mam, jakby opowieści rodziców. Ale rzeczywiście gdzieś. Potem jako dziewczynka była taka jakaś dziesięcioletnia, byłam szefową niewidzialnej grupy, była taka akcja Niewidzialna Ręka. Polegało to na tym, że chodziło o to, żeby ludziom zrobić jakąś dobrą rzecz.

JS:

Przysługę jakąś.

KDW:

Wypilić ogródek. Zostawialiśmy kartkę, że to była Niewidzialna Ręka.

JS:

Bez przyznawania się, kto to?

JS:

Bez przyznawania się. Wprawdzie musiałam się kiedyś przyznać. Dostałam od mamy chyba nawet ściereczką po plecach, ponieważ też naszą działkę z moimi dziećmi, z grupy wypiliłam. Ale wypiliśmy wszystko, co było zielone.

JS:

Ale chęci były dobre.

KDW:

Chęci były dobre, musiałam się przyznać. Więc miałam taki w sobie gen, powiedziałabym, aktywności zawsze. W szkole podstawowej prowadziliśmy kabaret z Tomkiem Grońskim, dzisiaj znanym rzeźbiarzem, grupę zuchowską z Andrzejem Obecnym w szkole średniej, od początku byłam w samorządzie szkolnym, który prowadziłam. Jakąś taką aktywność miałam w sobie zawsze i chyba taka naturalna droga, że doszłam do tego momentu. Natomiast nigdy nie myślałam o tym, żeby być prezydentem czy w ogóle o jakiejś władzy. Zawsze się bałam, jak powiedziałam, nawet funkcji dyrektora. Natomiast mój tatuś, który był dla mnie najważniejszym człowiekiem w życiu. Ja wiem, że to źle brzmi i tak się mówi, ale proszę Państwa, ja noszę zegarek. Taki męski zegarek. To jest taka trwała pamiątka po moim tacie, który zmarł w 2006 roku. I ja ten zegarek nałożyłam krótko po jego śmierci, bo on go nosił zawsze i go nigdy nie zdejmuję.

Bo mam takie wrażenie, metafizyczne, że on cały czas mnie obserwuje, wspiera i trzyma mnie za rękę. Tak trzymał. I mój tatuś, kiedy umierał, powiedział tak: „Córcia”, bo ja się nie mogłam zgodzić z jego śmiercią. „Pamiętaj, na świat się nie można gniewać. Ze światem się trzeba układać.” To po pierwsze. I po wtórę mówił, że: „historia uczy tego, żeby płynąć z jej prądem, nie pod prąd. I żeby, jeżeli możesz, zostawiać w tej historii swój ślad.” I on w 2005 roku, kiedy byłam dyrektorką szkoły, nie mogłam być radną, bo nie mogłam łączyć funkcji, powiedział „Córcia, a może byś, wiesz co, ty powinnaś zostać prezydentem Słupska.” Co mu do głowy przyszło? Nie wiem, bo nigdy o tym nie było mowy. Miał dwa życzenia, dotyczące jedno mojego męża, takie osobiste, żeby Sylwestrowi tam się powiódł jeden projekt i żebym ja została Prezydentką. Naprawdę o tym nie myślałam. Ale mogę powiedzieć, że jako posłuszna córka mojego taty, spełniłam jego marzenia i tak zostałam Prezydentką.

JS:

I o tym, jak do tego doszło, pewnie jeszcze sobie porozmawiamy. Ja bardzo serdecznie dziękuję za dzisiejszą rozmowę i za to, że mogliśmy się trochę cofnąć do tych lat, o których pewnie ludzie młodzi tylko mogą posłuchać.

KDW:

Ja bardzo serdecznie dziękuję za tę sentymentalną trochę dla mnie podróż, ale chcę powiedzieć Ci jedną rzecz na końcu. Ja generalnie głęboko wierzę, że w ludziach jest dużo potrzeby bycia aktywnym dla innych ludzi, naprawdę. Tylko, że myśmy, jak byli młodzi, mieliśmy mniej niż dzisiaj możliwości i mniej bodźców pobudzających nas do aktywności. Oni mają dużo więcej bodźców, w związku z tym nie zawsze są aktywni społecznie. Oni nie są od nas absolutnie gorsi. Są tylko po prostu zwyczajnie inni.

To chciałam powiedzieć i chciałam powiedzieć jeszcze jedną rzecz, która jest dla mnie bardzo ważna. Co jest takim mottem mojego życia - „Pamiętajcie, że czas to moneta twojego życia. I nie pozwólcie, ażeby ktokolwiek wydał go za ciebie”. Nie pozwól, żeby ktoś inny kierował twoim życiem. Staraj się sama być szefem swojego życia, ale tak czynić to życie, żeby być pomocnym i pożytecznym dla innych. I to, jak tak się żyje, to się żyje w zgodzie i z uśmiechem.

JS:

No chyba piękniejsze puenty nie mogłam sobie wyobrazić. Dziękuję bardzo za spotkanie.